

Hiszpania (1967 r.).

Część I.

**Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego
iberysty**



Salamanca. Stare Miasto z katedrą.

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Od powrotu z Kuby do wiosny 1967 roku, czyli prawie trzy lata, trwała moja ożywiona wymiana listów z José Marią Chaconem y Calvo. W kwietniu 1967 roku przyszła wiadomość z hiszpańskiego MSZ: mam przyznane skromne stypendium w celu odbycia wakacyjnego kursu w Hiszpanii. Zdecydowałem, że będzie to Wyższy Kurs Filologii Hiszpańskiej w **Maladze**,

organizowany już po raz drugi przez Wyższą Radę Badań Naukowych Hiszpanii.

Pozostało jeszcze zdobycie paszportu (co wówczas bynajmniej nie było proste), opłacenie podróży w dewizach i zabezpieczenie się finansowe na pierwsze dni, zanim otrzymam stypendium. Żadnych kontaktów z frankistowską Hiszpanią jeszcze nie było (hiszpańskie przedstawicielstwo handlowe pojawiło się w Warszawie chyba dopiero trzy lata później, w 1970 roku). Staralem się więc oficjalnie o wyjazd do Francji, na zaproszenie Jeannine, Francuzki poznanej rok wcześniej w pociągu na trasie Sofia - Bukareszt. Podróż w biurze „Wagons - Lits - Cook” opłacił mi mieszkający w Rzymie pisarz kubański Calvert Casey, zaś pieniądze na pierwsze tygodnie pobytu na Zachodzie miał wysłać na adres Jeannine poznany w Towarzystwie Przyjaciół Kultury Iberyjskiej Urugwajczyk, który właśnie wybierał się do Kopenhagi. Pertraktacje odbywały się w siedzibie tego Towarzystwa na ulicy Wierzbowej, w obecności moich dwóch znajomych, Halszki i Teresy, które z przerażeniem patrzyły to na siebie, to na mnie: fakt, że miałem wręczyć owemu Urugwajczykowi pewną sumę złotych polskich, a on za to miał przesłać Jeannine równowartość we frankach, uchodził wtedy za „przestępstwo dewizowe”!

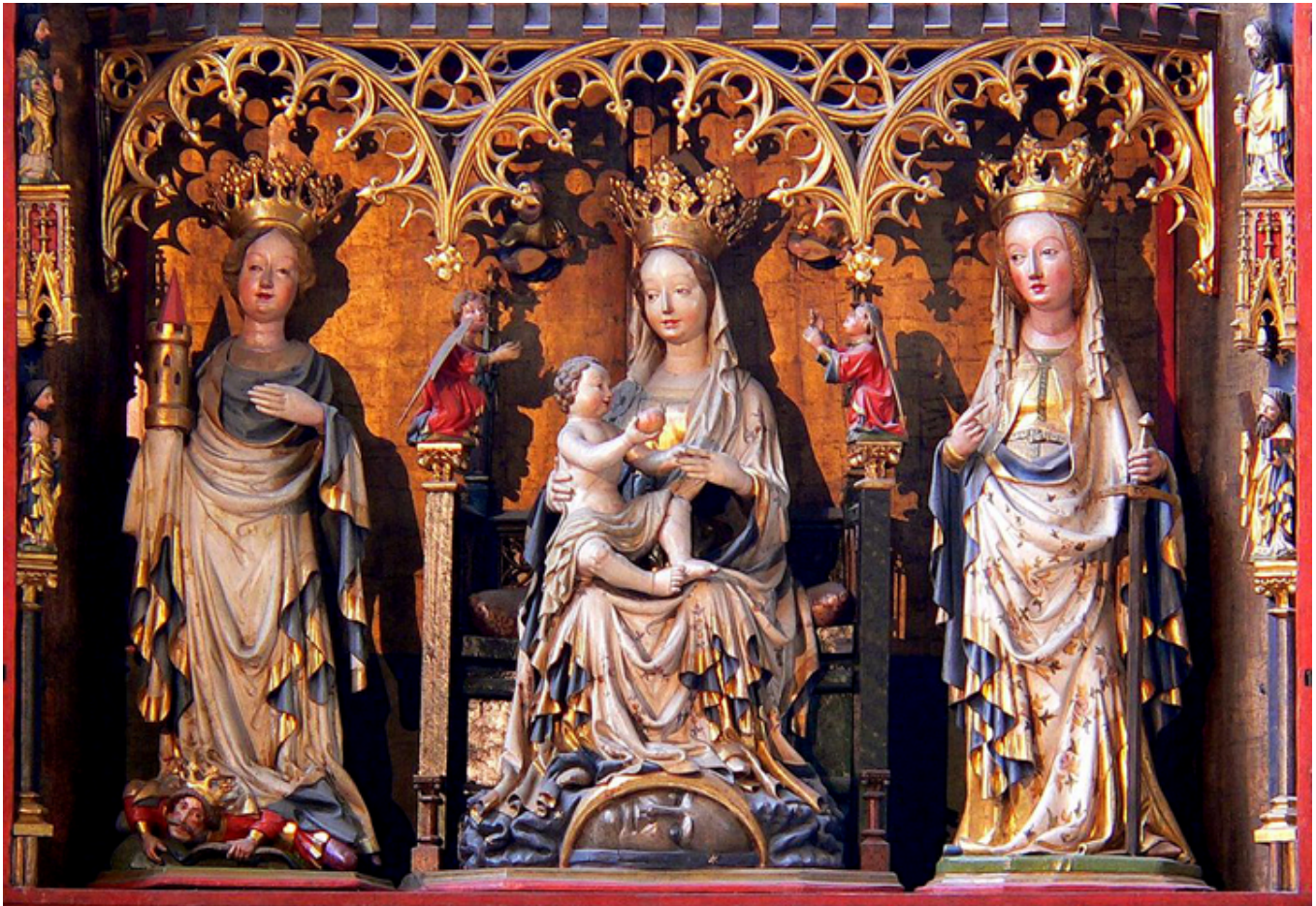
Do samego końca nie było wiadomo, czy uzyskam paszport. Na szczęście, udało się i pod koniec czerwca 1967 roku, w bardzo

upalne popołudnie wsiadłem na Dworcu Gdańskim do pociągu odjeżdżającego do **Wiednia**. W przedziale poznałem rówieśnika z Zielonej Góry, udającego się na stałe do Izraela via Wenecja i Bari. Był to okres moczarowskiej nagonki na osoby pochodzenia żydowskiego, które w efekcie masowo opuszczały PRL. Mój towarzysz podróży okazał się całkiem sympatyczny i w **Wiedniu** umówiliśmy się, że będziemy wieczorem kontynuować razem podróż do **Wenecji**.

W **Wiedniu** bez większego trudu odnalazłem sklepik żydowski, gdzie „upłynniłem” butelkę „Wyborowej” za parę szylingów. Suma ta przydała mi się na opłacenie kuszetki do **Wenecji**. **Wiedeń**, w zestawieniu choćby z oglądaną rok wcześniej **Pragą**, wypadł skromnie. Obejrzałem wspaniałe wnętrza katedry św. Szczepana: cudowne witraże, rzeźby, obrazy i kilka starych uliczek w najbliższym sąsiedztwie katedry, po czym spotkałem się ze znajomym młodej wówczas kompozytorki, pani **Joanny Bruzdowicz**. Był to osiadły w **Wiedniu** sympatyczny Chilijczyk, z którym spędziłem całą resztę dnia w jakiejś kawiarni w pobliżu katedry św. Szczepana. O dalszym oglądaniu **Wiednia** nie było mowy: cały czas padał ulewny deszcz.



Wiedeń. Katedra św. Szczepana.



Wiedeń. Maryja w asyście św. Katarzyny i św. Barbary w katedrze św. Szczepana.

Podróż do **Wenecji** trwała całą noc i cały następny dzień. Przyjechaliśmy już po zapadnięciu zmroku. Umyłem się trochę w hoteliku, w którym zamieszkał mój towarzysz podróży udający się do Izraela i razem ruszyliśmy na zwiedzanie miasta. Na **Canale Grande** wsiedliśmy do *vaporetta* i podziwialiśmy **Wenecję** z jego pokładu. To było coś fantastycznego: cudownie oświetlone renesansowe i barokowe pałace i kościoły, mijane po drodze mosty i gondole tworzyły nieprawdopodobnie piękną i zupełnie baśniową dekorację. Szczypałem się bez przerwy po rękach, by uwierzyć, że to, co przesuwają się przed moimi oczami to jednak rzeczywistość, a nie jakiś czarowny sen. Żadne inne

miasto (może z wyjątkiem Rio de Janeiro) nie oszołomiło mnie tak dalece swoim niesamowitym pięknem!



Wenecja. Wieża bazyliki św. Marka i Pałac Dożów.

Okolo północy wsiadłem do pociągu jadącego w kierunku **Marsylii**. Czekał mnie kolejny długi odcinek podróży. Przed granicą włosko - francuską włoski strażnik graniczny długo delectował się moim paszportem wypisując zeń chyba całą jego zawartość i mierząc mnie zaiste mało przyjaznym spojrzeniem.

San Remo i **Monte Carlo** nie zrobiły na mnie większego wrażenia: małe, wąskie, kamieniste i mocno zatłoczone plaże nie wydały mi się zbyt atrakcyjne. Pod wieczór kolejnego dnia, po 72

godzinach od wyjazdu z Warszawy, witałem się na dworcu w **Tulonie** z Jeannine, u której spędziłem 10 dni w oczekiwaniu na wizę hiszpańską. Odebrałem ją w Konsulacie Hiszpanii w pobliskiej **Marsylii**.

Ojciec Jeannine był członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej i admiratorem „realnego socjalizmu” w Europie wschodniej. Toteż Jeannine regularnie jeździła na wakacje do dwóch ciepłych „demoludów” - **Bułgarii** i **Rumunii**. Jako mieszkanka **Lazurowego Wybrzeża** nie wyobraża sobie prawdziwych wakacji w jakimś chłodnym klimacie. Nawiązała tam kontakty z miejscową elitą intelektualną nastawioną dość krytycznie do reżimów komunistycznych swoich krajów i stopniowo sama zaczęła krytycznie oceniać tamtejszą rzeczywistość, brak elementarnych swobód, życie w ciągłym strachu, kłopoty zaopatrzeniowe i tak dalej. Kiedyś w **Bukareszcie** na widok kobiet zamiatających ulicę zawołała: „Coś takiego! We Francji tego typu pracę wykonują wyłącznie mężczyźni!”



Przełom rzeki Verdon, fot. Sam Azin.

Zaraz po moim przyjeździe z grupą jej znajomych pojechaliśmy na dwudniową wycieczkę do przełomu rzeki **Verdon** (*Gorges du Verdon*). Mijaliśmy zalane słońcem schludne prowansalskie miasteczka (między innymi **Draguignan**), pojedyncze cyprysy, gaje pomarańczowe... Powietrze przesycone było mocną wonią tymianku i rozmarynu, grały głośno cykady. Zanocowaliśmy całą paczką (około 10 osób) w schronisku, wszyscy w jednej dużej sali. Rano jedna z dziewcząt zawołała: „Słuchajcie! Ktoś tu chrapał!” „I to z polskim akcentem!” – rzucił jej partner. Tak, chodziło o mnie. Po śniadaniu przemierzyliśmy cały szlak wzdłuż wijącej się w dole szmaragdowo-seledynowej rzeczki. Piękna trasa wiodła dnem skalnego wąwozu. Przy wyjściu jeden z chłopców znalazł skorpiona i zabawiał się nim przy pomocy patyka. Otoczyliśmy go wiankiem przyglądając się z bliska temu zwierzątku. W tym czasie zajęchały na parking dwa samochody.

Wysypało się z nich bardzo eleganckie towarzystwo, w tym dwie wystrojone damulki w pantofelkach na wysokim obcasie. Obie zbliżyły się do nas i jedna z nich zapytała z przerażeniem: „Dużo takich skorpionów spotkaliście tam na dole?” – „Całe mnóstwo! Jest ich tam zatrzęsienie, proszę pani!”, odparł z powagą chłopiec od skorpiona. „To ja nie idę. Mowy nie ma!” – pisnęła dama oddalając się w popłochu.

Pojechałem też z Jeannine do **Cannes**, gdzie mieszkała jej ciotka, nauczycielka literatury francuskiej, zagorzała komunistka. Dostałem od niej w prezencie antologię literatury francuskiej z krótką dedykacją: *Ce n'est qu'un au revoir!* (Do następnego spotkania!). Niestety, ta pani już nie żyje i do kolejnego spotkania nigdy nie doszło. Samo **Cannes** widziałem w przelocie. Przejechaliśmy tylko nadmorskim bulwarem *de La Croisette*, obsadzonym palmami daktylowymi, przed fasadą imponującego Pałacu, gdzie odbywają się słynne Festiwale Filmowe, ale odbyło się to zbyt szybko, by móc nacieszyć oczy urodą tego miasta.



Tulon. Widok na zatokę.

Zaopatrzony w wizę hiszpańską ruszyłem w dalszą drogę. Odcinek **Tulon - Port Bou** (już po stronie hiszpańskiej) był najkrótszy: wyjechałem przed północą i nad ranem wraz z tłumem podróżnych wysiadłem na granicy. W budynku dworca odbywała się kontrola graniczna. Przyzwyczajony do tego typu kontroli w PRL i innych „demoludach” poczułem się mocno spłoszony: byłem przeświadczony, że będzie drobiazgowa, bardzo powolna i przykra, szczególnie dla mnie, przybysza z kraju komunistycznego. Moje obawy okazały się całkiem niesłuszne: kolejka posuwała się szybko i sprawnie, a mnie spotkała miła niespodzianka w postaci komplementu, że znakomicie mówię po hiszpańsku. Urzędnik życzył mi też przyjemnego pobytu w **Hiszpanii**. Tak oto bezboleśnie przekroczyłem granicę **Hiszpanii** i znalazłem się w pociągu do

Barcelony. Niebawem wjechaliśmy na przedmieścia katalońskiej metropolii. „Nowoczesne budownictwo” nie zachwyciło mnie: maleńkie okienka, typowe dla całej **Hiszpanii** (by ograniczyć maksymalnie ilość światła słonecznego w mieszkaniach), wszędzie susząca się bielizna, mało zieleni...

W **Barcelonie** przesiadłem się do pociągu jadącego do **Madrytu**. Za oknem przesuwiał się pustynny krajobraz zachodniej **Katalonii** i **Aragonii**, piekło słońce. Wreszcie późnym popołudniem pociąg wjechał na dworzec Atocha w **Madrycie**. Na peronie czekała na mnie tłumaczka literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej na polski, Kalina Wojciechowska i jej znajomy, pisarz hiszpański Héctor Vázquez Azpiri, u którego zresztą spędziłem pierwsze dni na ulicy Paseo de La Habana.

Madryt przytłoczył mnie swoim ogromem, intensywnym ruchem ulicznym, olbrzymią ilością samochodów, zatrutym spalinami powietrzem. Nie mogłem się przyzwyczaić do chodzenia po mieście: chodniki zatłoczone były do niemożliwości zaparkowanymi wszędzie samochodami. Doskwierały mi hałas i spiekota. Hałasu w takich dawkach jeszcze nigdzie nie spotkałem: atakował brutalnie o każdej porze dnia i nocy. W MSZ miałem szczęście. Kwestię stypendium załatwiłem sprawnie dzięki uprzejmości pana markiza (tytuły arystokratyczne są nadal używane w Hiszpanii!) Santiago de Mora Figueroa. Pan markiz

dał mi adres swej matki, markizy de Tamarón, w **Arcos de la Frontera** w **Andaluzji**, polecając, bym ją tam koniecznie odwiedził i obejrzał malownicze miasteczko, w którym mieszka. Upodobali je sobie malarze i inni artyści. Poza tym, wiedząc, skąd przybywam, skontaktował mnie ze swoim znajomym, przedstawicielem Agencji Reutera w **Madrycie**.

Andrew Tarnowski (bo o nim mowa) urodził się i mieszkał na stałe w **Anglii**, a po polsku umiał tylko powiedzieć „dzień dobry”, „dziękuję” i... „dupa”. Rozmawialiśmy więc po hiszpańsku. Zawiózł mnie swoim samochodem do **Toledo**. Wjeżdżaliśmy na parking znajdujący się nad urwistym brzegiem **Tagu**, skąd cudowny widok na miasto usytuowane po przeciwnej stronie rzeki. Andrew rozpędził się i ledwie zdążył zahamować nad samą krawędzią wysokiej skarpy. Grupa gapiów widząc to, stanęła jak wryta, spodziewając się, że niechybnie stoczymy się do **Tagu**. Gdy wysiadaliśmy z samochodu, jedna babcia nie wytrzymała i rzuciła ku nam z lekka drwiącym głosem: „Trochę się zapędziliście, co?” Na co wściekły Andrew sucho: „Tak się pani wydaje?”



Toledo w zakolu Tagu, fot. Jose M. Azcona.

Toledo jest pełne zabytków i to bardzo cennych, ale przeszkadzały mi, jak w wielu innych zabytkowych miastach **Hiszpanii**, nieprzebrane tłumy turystów i mocno piekące słońce. Ciekawe, że o wiele lepiej znoszę upał tropikalny, niż to siarczyście palące słońce śródziemnomorskie. Andrew skontaktował mnie ze swoim znajomym Anglikiem, u którego zamieszkałem na ulicy Generała Oráa, w eleganckiej dzielnicy Salamanca.

Po kilku dniach spędzonych w **Madrycie** udałem się pociągiem do **Malagi**, jednego z największych miast **Andaluzji**, na samym południu kraju. Tam odbywał się II Wyższy Kurs Filologii Hiszpańskiej z udziałem wybitnych specjalistów zarówno z dziedziny językoznawstwa (Bernard Pottier z Francji, Kurt Baldinger i Eugenio Coşeriu z Niemiec, Antonio Quilis z Madrytu), jak i literatury hiszpańskiej (José Manuel Blecua z

Barcelony i Emilio Orozco z Grenady, obaj świetni znawcy twórczości Queveda i Góngory). Wśród uczestników połowę stanowili Hiszpanie (nauczyciele języka i literatury hiszpańskiej w liceach, a drugą połowę hispaniści zagraniczni, w tym przedstawiciele Argentyny, Brazylii, Peru, Wenezueli, Panamy, Kuby. Z Europy wschodniej, oprócz mnie była jeszcze pięcioosobowa grupka Rumunów, wśród nich późniejsza znakomita badaczka fonetyki latynoamerykańskiej, Cristina Isbășescu (1941 - 2013). Rumuni stanowili wyjątek w naszym obozie „demoludów”, gdyż jako kraj romański mieli od dawna oficjalną wymianę kulturalną z **Hiszpanią** i **Portugalią**, mimo reżimów faszystowskich panujących w obu tych krajach. Mieli też przedstawicielstwa dyplomatyczne, a w **Maladze** był nawet konsulat **Rumunii**. Ciekawie przedstawiała się struktura polityczna hiszpańskich uczestników kursu. Była wśród nich grupka mocno lewicujących wrogów reżimu Franco, najliczniejszy umiarkowany środek i dość znaczna grupa zdecydowanych zwolenników i obrońców reżimu. Ci pierwsi, zafascynowani komunizmem, zorganizowali spotkanie z Rumunami, którzy musieli wychwalać swój reżim, bo do Hiszpanii zostali wysłani oficjalnie, właśnie przez jego przedstawicieli. Ja miałem ten luksus, że odmówiłem uczestnictwa w tym zebraniu, przez co zyskałem sobie opinię „reakcjonisty”. Muszę przyznać, że zupełnie się nie przejąłem, a wręcz poczułem się tym wyróżniony. To przecież komplement być tak nazwanym przez komunistów!

Wśród uczestników kursu była spora grupka poetów: kilkoro Hiszpanów i jedna Panamka - Elsie Alvarado de Ricord, z którą spotkałem się ponownie w **Panamie** w 1998 roku, po 31 latach! Postanowiono więc zorganizować wieczór poezji, podczas którego poeci czytali swoje własne wiersze. Na udrapowanym ciemnozielonym suknie pokrywającym ścianę za ich plecami wisiał duży krzyż, a pod nim portret Franco, w owym czasie obowiązkowa dekoracja. Na zakończenie parę osób wypowiedziało się pozytywnie o wieczorze, chwalać tę interesującą inicjatywę, bo wiersze okazały się w istocie bardzo ciekawe. Ku ogólnemu zaskoczeniu Peruwiańczyk o imieniu Carlos dodał, że w przyszłości należałoby zadbać o wyeliminowanie pewnych zgoła niestosownych szczegółów przy takich okazjach i tu wskazał na rzeczoną dekorację. Parę osób nieśmiało jęło bić brawo, reszta audytorium zamarła w głębokim milczeniu. Jeden z frankistów podobno głośno wyraził swe oburzenie; komuniści zagrozili mu, że go wykończą, jeśli odważy się donieść na policję, ale sekretarz kursu był jednak wzywany na komisariat policji... Po paru dniach sprawa jakoś ucichła.



Malaga. Arabska forteca Alcazaba i Dom Kultury, gdzie odbywały się wykłady.

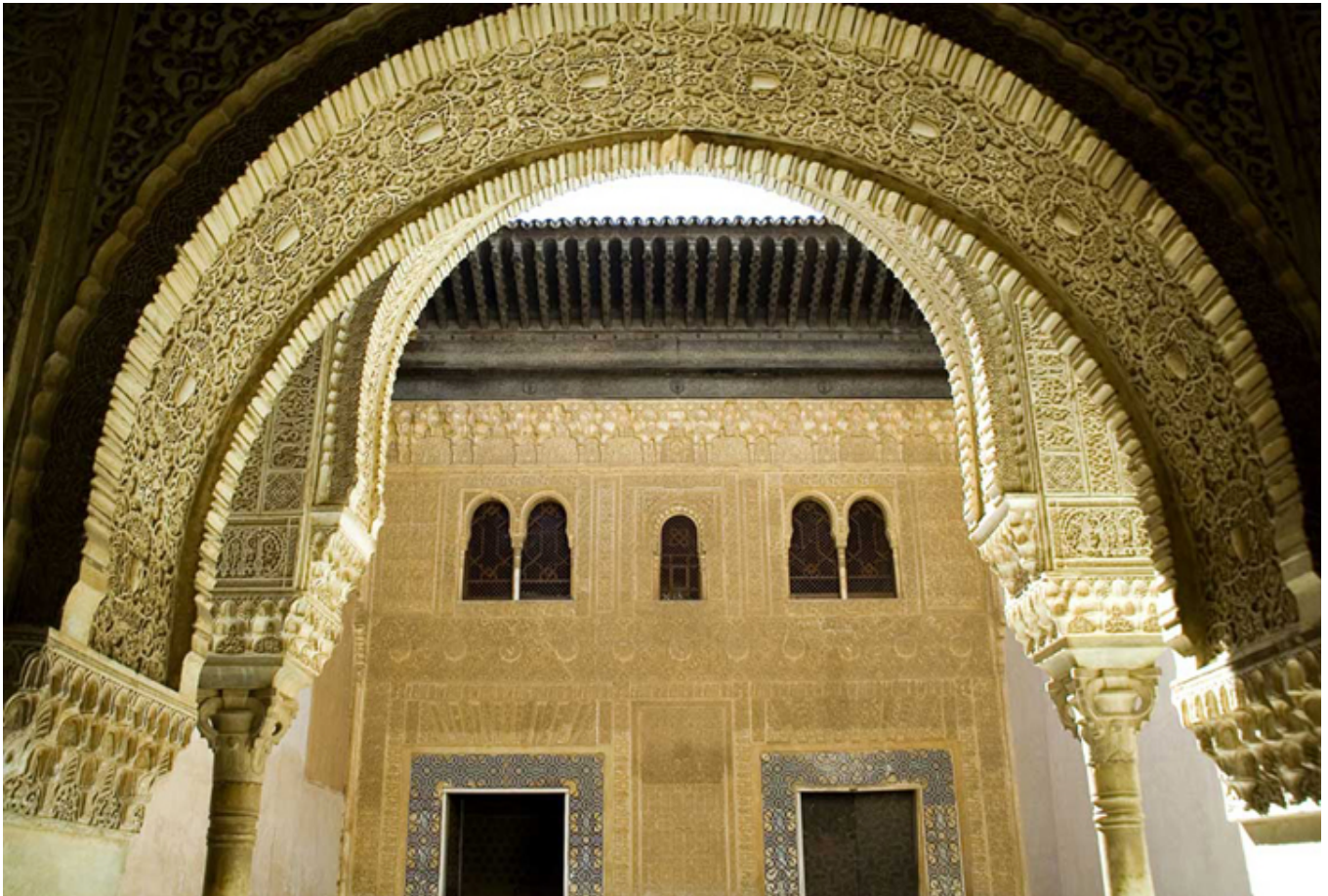
Malaga jest ważnym portem leżącym stosunkowo blisko wybrzeża **Afryki**. Kilkakrotnie poczułem dosłownie gorące podmuchy wiatru znad **Sahary**. Ten wiatr niemal parzył. Na dość wysokim wzgórzu nad portem zachowały się mury arabskiej fortecy **Alcazaba**. W pełni lata wszystko było tam suche jak pieprz, ani odrobiny cienia, a wąska dróżka prowadząca na szczyt wcale nie zachęcała do wspinaczki. Na dole, u stóp wzgórza, w kierunku wschodnim biegnie szeroka aleja wysadzana wielkimi palmami daktylowymi, z kilkoma kępami smukłych, niemal miniaturowych palm nieznanego mi gatunku. Nosi ona niezwykle szumną nazwę „parku”. Jest to rzeczywiście

największe skupisko zieleni w mieście, ale ta zieleń – jak prawie w całej **Hiszpanii** – egzystuje tylko dzięki bezustannemu podlewaniu i tryskającym gęsto fontanom. W starej części miasta jest kilka ładnych, ukwieconych uliczek: dominują pelargonie w doniczkach zawieszonych gęsto, jak wszędzie w **Andaluzji**, na ścianach pobielonych wapnem domów. Oczywiście, balkony i patia całe toną w kwiatkach.

Musiałem bardzo oszczędzać, więc w sekretariacie kursu poprosiłem o wskazanie mi najtańszego z tanich pokoi. Tym sposobem zamieszkałem u niejakiej Doñii Angelity, w wewnętrznym pokoju, bez okna. Takie pokoje to hiszpański wynalazek (poza **Hiszpanią** widziałem coś takiego jeszcze na **Dominikanie**). Horrendum, istna rozpacz: zaduch niemożliwy! Ilekroć kładłem się spać, machałem długo pizamą, by rozruszać zastałe powietrze. Nie na wiele to się zdawało. Drugą niedogodnością był częsty brak wody, mimo że oszczędza się ją do przesady. Doña Angelita zawołała kiedyś z rozpaczą w głosie po mojej krótkiej wizycie w toalecie: „Jak można spuszczać wodę za każdym razem, gdy się wejdzie do toalety! Co to za zwyczaje!”. Po jakimś czasie, dzięki staraniom koleżanki z kursu, przeniosłem się do wieżowca niedaleko portu. Tam – na szczęście – zwyczaje były nieco mniej hiszpańskie. Aliści dostało mi się kiedyś od sprzątaczkę za to, że zostawiłem uchylone drzwi od mojego pokoju. Bóg mi świadkiem, że zrobiłem to bynajmniej nie po, by jej dorastająca córka mogła oglądać mnie w negliżu, a

tylko po to, by mieć odrobinę przewiewu! Hiszpanie, w swej nieprawdopodobnej „otwartości” na świat, pojąć nie mogą, że przybysz z północy nie jest w stanie pozamykać szczelnie okien i drzwi i egzystować w takiej duchocie w środku hiszpańskiego lata.

Plaże na **Costa del Sol** (Słonecznym Wybrzeżu) koło **Malagi** nie należą do atrakcyjnych krajobrazowo, ale pobyt na nich w sierpniowy skwar przynosi pewną ulgę. Niestety! Gdy inni znajomi z kursu wybierali się na plażę po wykładach, ja biegłem w strugach potu do *Casa de Cultura* (Domu Kultury), gdzie codziennie udzielałem korepetycji z francuskiego grupce uczniów przygotowujących się do egzaminu poprawkowego. Moje stypendium powoli kończyło się i wciąż miałem obsesyjną obawę, że zostanę bez grosza. Była to zaiste mało komfortowa sytuacja. Mimo to, nie opuściłem żadnej wycieczki organizowanej w czasie naszego kursu. Jakże mogłem nie pojechać do **Sewilli**, **Kordowy** czy **Grenady**, o których tyle już czytałem i słyszałem? Nie znoszę zbiorowego zwiedzania, ale nie było innych możliwości.



Alhambra

Najlepiej pamiętam **Alhambrę**, cudowny pałac królów mauretańskich w **Grenadzie**. Podczas gdy inni uczestnicy wycieczki uganiali się w zawrotnym tempie po licznych zabytkach tego miasta, ja zostałem celowo cały dzień tylko w **Alhambrze**. Spokojnie, bez pośpiechu oglądałem kolejne dziedzińce, podziwiając wspaniałe „stalaktyty” w niszach sufitów i w łukach okiennych, wchłaniając w siebie pyszne widoki na arabską - jakże białą! - dzielnicę **Albaicín**, wsłuchując się w szmer wszechobecnych fontann i strumyczków wody.

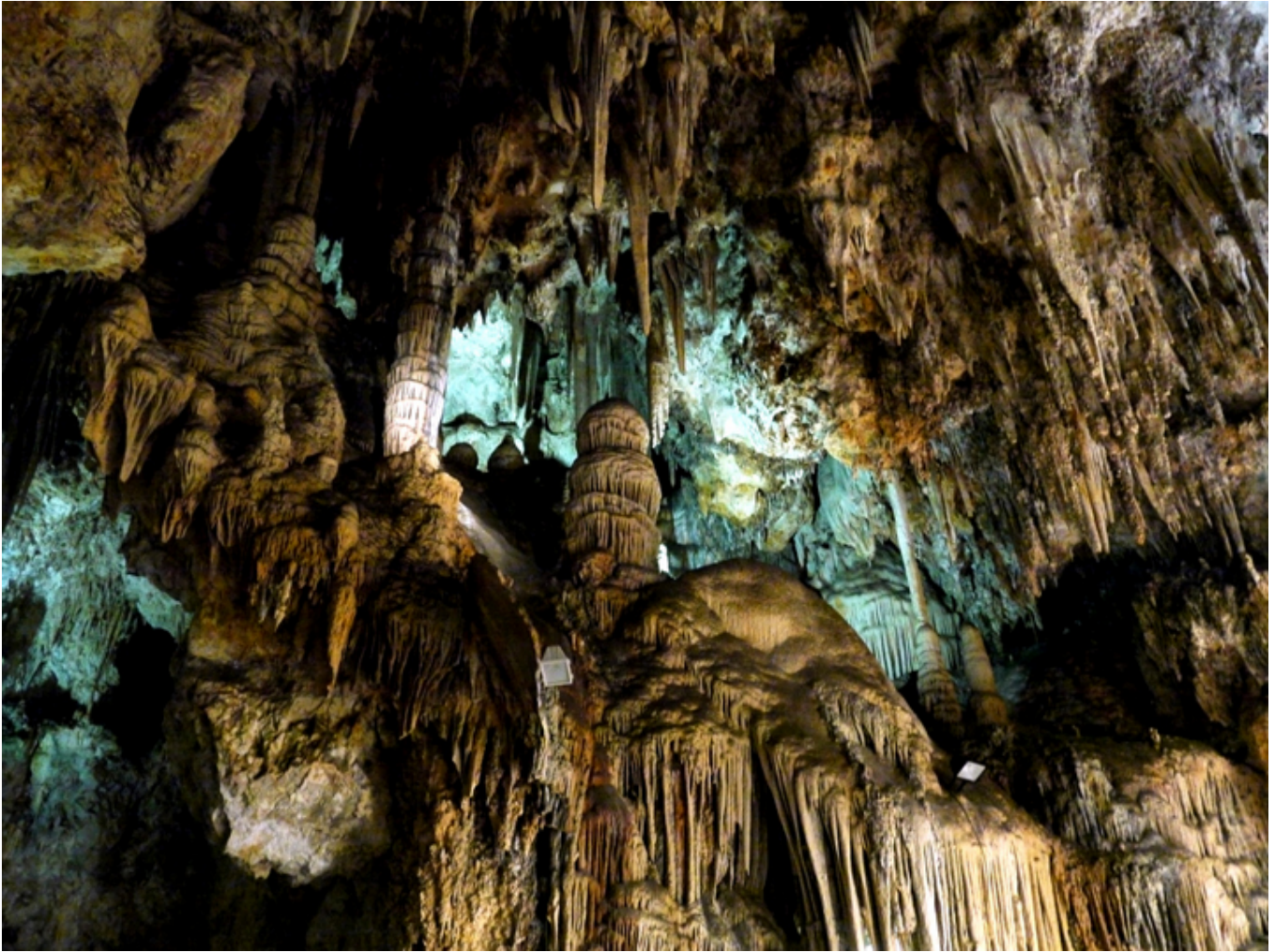


Ronda. Arena.



Ronda. Most nad wąwozem.

Z mniej znanych miejsc, dokąd wówczas pojechałem, muszę wymienić starą **Rondę**, miasto toreadorów z bardzo wysoko przewieszonym nad przepaścią mostem, **Mijas** - malutkie, uczone na zboczu, białe andaluzyjskie miasteczko i zielone jaskinie w **Nerja**. Cała **Andaluzja** to jakby przedłużenie muzułmańskiej Afryki: oślepiająca biel domów, życie skupione na ich wewnętrznych dziedzińcach, pustynny krajobraz i tylko wielkie agawy i opuncje prawie wszędzie. Nie bez kozery moja przyjaciółka z Francji, Marie-France Busquet, która spędziła kilka lat w **Tunezji**, komentowała często: „Zupełnie jak w Tunezji, wypisz wymaluj!”



Nerja. Jaskinia.

Po powrocie do **Madrytu** odczułem pewną ulgę: było już chłodniej. Chociaż zostało mi bardzo niewiele pieniędzy, pomyślałem sobie: „Jakoś to będzie!” i wybrałem się najpierw do **Salamanki** (na zachód od Madrytu, blisko granicy portugalskiej), a potem do **Santiago de Compostela**, które leży na północnym zachodzie, daleko w sercu deszczowej, wilgotnej **Galicji**. Oba miasta zachwyciły mnie ogromnie. **Salamanka** jest cała z kamienia w kolorze złocistej ochry, promienna, z najstarszym hiszpańskim uniwersytetem z 1253 roku, o przepięknej fasadzie w stylu *plateresco*, tym uporządkowanym,

niezwykle symetrycznym stylu na pograniczu gotyku i renesansu. Ta fasada uniwersytetu to istny haft w ciemno złocistym kamieniu! Choni Barroso, umiarkowana antyfrankistka z kursu w **Maladze** (do niedawna pracowała w hiszpańskim Ministerstwie Edukacji) była mi wspaniałym *cicerone* po swym rodzinnym mieście. W **Santiago de Compostela** dominuje kolor szarozielony. Wszystkie stare budowle, w tym niezwykle piękna, olbrzymia katedra z grobem św. Jakuba Apostoła, są z ciemnoszarego kamienia porośniętego często mchem. Drobną deszcz, lekki chłód, zielone wzgórza, to wszystko sprawia, że w **Galicji** człowiek czuje się jak w zupełnie innym świecie. Co za ogromny kontrast w zestawieniu z Andaluzją, czy nawet Kastylią z ich pustynnym pejzażem i ubóstwem wszelkiej roślinności! Ta soczysta zieleń, mchy, bluszcze oplatające pnie drzew, cieniste platany, rześkie powietrze, piękne romańskie kościołki, celtycka przeszłość, przynależność językowo - kulturowa do sąsiedniej **Portugalii**, to zadecydowało, że zakochałem się w **Galicji** od pierwszego wejrzenia. O ileż lepiej się tu czułem jako samotny pielgrzym, bez tłumów turystów, niż w spalonej słońcem, okrzyczanej arabskiej **Andaluzji**! Dopiero tu znalazłem właściwy nastrój do podziwiania piękna, do kontemplacji i rozmyślań.

Fotografie pochodzą z serwisu Flickr

**Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165.
Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych**

do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją Culture Avenue.

Galeria



Grenada. Alhambra. Dziedziniec Lwów.



Kordowa. Noria (arabski czerpak mechaniczny do wody)



Kordowa. Most rzymski i meczet.



Salamanca. Stara Katedra.



Salamanca. Dziedziniec uniwersytecki, fot. Bertlive Photo..



Salamanca. Poeta Brat Luis de León i Fasada Uniwersytetu.



Santiago de Compostela. Katedra św. Jakuba.



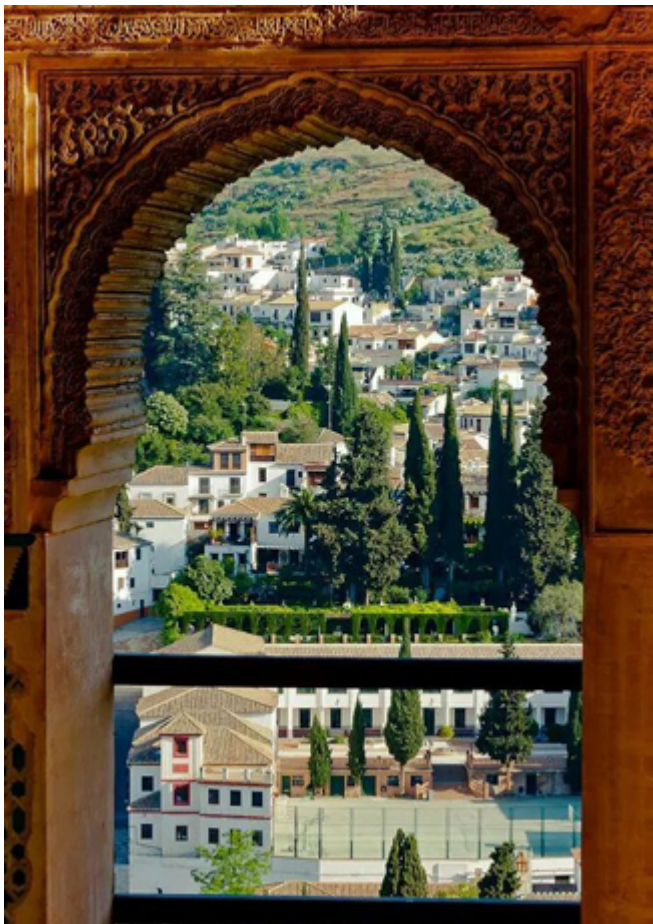
Sewilla. Pałac Alcázar.



Sewilla. Dzielnica Santa Cruz.



Sevilla, Alcázar: Patio de las Doncellas.



Grenada. Widok z Alhambry na dzielnicę Albaicín.



Santiago de Compostela. Fontanna z Końmi.



Kordowa. Plac Żrebaka.



Salamanca. Dom pod Muszlami.



Sewilla. Wieża Giralda i dziedziniec drzew pomarańczowych.

Poprzednie części wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego:

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/>

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-ii/>

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-iii/>

<http://www.cultureave.com/argentyna-i-paragwaj/>

<http://www.cultureave.com/brazylia-argentyna-urugwaj/>

<http://www.cultureave.com/meksyk-gwatemala-honduras/>

<http://www.cultureave.com/pierwszy-pobyt-na-kubie/>